

LIDER ROKU 2023

W OCHRONIE

ZDROWIA

MEDIA



I PUBLIC RELATIONS

Dziennikarstwo Evidence Based Medicine

Rozmowa z **Dorotą Romanowską**

Zaczynała pani karierę dziennikarską od tekstów politycznych. Jak to się stało, że zmieniła pani zainteresowania i zaczęła pisać o medycynie?

Zaraz po studiach w 1989 r. trafiłam do powstającej telewizji informacyjnej. Wówczas na polskiej scenie politycznej mnóstwo się działo i praca była fascynująca. Biegałam po sejmie, rozmawiałam z politykami. A ponieważ studiowałam geologię, jako jedynej nie-humanistce w redakcji przypisano mi także tematy ekologiczne. Byłam też „pogodynką”. Co prawda nigdy nie pracowałam na tzw. wizji, ale zamawiałam plansze ilustrujące zmiany pogody. Kiedy nasz program informacyjny zamknięto, trafiłam do „Obserwatora codziennego”, który miał być alternatywą dla „Gazety Wyborczej”. Tam również zajmowałam się polityką, ale gazetę z powodów finansowych szybko zamknięto. Dopiero w 1992 r. dostałam pracę marzeń – trafiłam do tygodnika „Wprost”. Wówczas było to jedno z najchętniej czytanych i najbardziej opiniotwórczych pism społeczno-politycznych. Ówczesny szef działu Nauka i Zdrowie Janusz Michalak [dzisiaj prezes Wydawnictwa Termedia – przyp.

red.] zaproponował, żebym napisała tekst o medycynie estetycznej i... tak zaczęła się moja fascynacja tematami związanymi z nauką i medycyną. To był czas przełomu w Polsce. Do naszego kraju zaczęło docierać mnóstwo nieznanych nam dotąd odkryć i informacji ze świata medycyny – nowe sposoby leczenia, nowe leki, technologie. Każdy temat, który wówczas brałam na warsztat, był fascynujący – i dla nas, dziennikarzy, i dla czytelników.

Dzisiaj przecież też jest mnóstwo nowych odkryć w medycynie.

Tak, ale nie aż do tego stopnia co wtedy. Dosłownie co chwilę odkrywaliśmy nowe lądy. Nie mieliśmy wówczas naprawdę podstawowej wiedzy medycznej. Aż trudno mi w to dzisiaj uwierzyć, ale nie miałam wtedy pojęcia, czym jest cukrzyca, poza tym, że w rodzinie jakaś ciotka czy wujek na nią chorowali. Nie było tak szerokiego dostępu do informacji jak dzisiaj, a bardzo chcieliśmy zdobywać jak najbardziej rzetelną wiedzę, edukować czytelników. Jeździliśmy więc na konferencje i kongresy medyczne, których

organizowano mnóstwo. Wszystkiego trzeba się było dowiedzieć z rozmów z ekspertami. Byliśmy więc z nimi w stałym kontakcie. Wszyscy lekarze (no, prawie wszyscy) mieli do nas ogromną cierpliwość, tłumaczyli od podstaw różnego rodzaju zagadnienia medyczne. A my dosłownie chłoniliśmy tę wiedzę i przekazywaliśmy oczywiście dalej.

Łamaliśmy też różnego rodzaju tabu. Niektóre tematy z trudnością przechodziły podczas kolegiów redakcyjnych. Pamiętam, że chciałam napisać tekst o raku piersi. Kiedy powiedziałam o tym na zebraniu, to panom słowo „piers” ledwie przez gardło przechodziło. Ale temat podjęłam. Włączyliśmy się do akcji „Twojego Stylu” propagującej badania profilaktyczne i leczenie nowotworów piersi. A ja wykorzystałam listy czytelniczek, w których opisywały zmaganie z chorobą. Potem drugi raz spotkałam się z podobną sytuacją, kiedy pojawiły się szczepionki HPV chroniące przed rakiem szyjki macicy. Musieliśmy więc oswajać kolejne słowo – „macica”. Nasi szefowie mieli z tym niewątpliwie problem. W 2001 r. trafiłam do nowo powstającego „Newsweeka” i pracuję w nim w dziale Nauka do dzisiaj.

Pisze więc pani na tematy związane z medycyną od 26 lat. Od czego zatem pani zdaniem zależy, czy tekst medyczny jest dobry?

Przede wszystkim musi zawierać sprawdzone informacje i być napisany w przystępny sposób, żeby czytelnik zrozumiał nawet najbardziej zawiłe kwestie, które mu przekazujemy. I to bywa najczęstszym problemem, bo niektórzy lekarze są bardzo przywiązani do specjalistycznego języka, jakim posługują się na co dzień. Dla nich oczywistego i jasnego, ale dla czytelnika, który nie ma do czynienia z medycyną, kompletnie niezrozu-



foto. Mateusz Skwarczek/Agencja Wyborcza.pl

DOROTA ROMANOWSKA

Medycyna godna zaufania to ta oparta na faktach i badaniach naukowych, czyli w skrócie Evidence Based Medicine (EBM). I takie też są artykuły Doroty Romanowskiej, dziennikarki i wieloletniej szefowej działu Nauka w tygodniku „Newsweek”. Pisze o trudnych, specjalistycznych zagadnieniach z dziedziny medycyny z pasją, w przystępny dla czytelnika sposób, a każda informacja, którą podaje, jest sprawdzona i wiarygodna. Wielokrotnie nagradzana i doceniana za swoją pracę.

miałego. Często nie mogę wiernie zacytować wypowiedzi eksperta, bo wiem, że po autoryzacji otrzymam tekst, z którego jeszcze mniej będę rozumiała, niż wydawało mi się, że rozumiem przed rozmową. Muszę stosować omówienia, żeby czytelnik wiedział, o czym piszemy. Kluczowy jest też dobór rozmówcy. Czasami przeprowadzam rozmowę z superekspertem, cenionym naukowcem, najważniejszym w swojej dzie- »



fot. Mateusz Skwarczek/Agencja Wyborcza.pl



fot. Mateusz Skwarczek/Agencja Wyborcza.pl

» dzinie. Ale jeśli nie lubi rozmawiać albo mu się nie chce, albo uważa, że to, co robimy, jest niepotrzebne, to naprawdę nie jest łatwo – opadają mi skrzydła. Po takim wywiadzie trudno napisać ciekawy, wciągający tekst. Natomiast jeśli trafiam na naukowca czy lekarza, który nie tylko przeprowadza własne badania, ma osiągnięcia naukowe lub medyczne, ale w dodatku ma poczucie misji i wiarę w to, że poprzez nasz artykuł zrobimy coś dobrego – to jest czysta przyjemność. Taka rozmowa niesie i artykuł wówczas ma to „coś”, co sprawia, że trudno się od niego oderwać.

Czy pani również ma poczucie misji? Pisząc teksty o zdrowiu, bierze pani na siebie przecież sporą odpowiedzialność – czytelnicy często czerpią z nich informacje, przyjmują porady, idą się szczepić (albo nie) lub wykonują badania profilaktyczne, co ma wpływ na ich stan zdrowia.

Poczucie misji to pewnie zbyt mocne określenie. Absolutnie czuję natomiast, że swoimi tekstami edukuję. Najmocniej mnie to uderzyło w trakcie pandemii. Mnóstwo pisałam wtedy o koronawirusie, o szczepionkach – na czym polegają, jakie są między nimi różnice, o różnych sposobach leczenia. Opisywałam niesamowite poświęcenie lekarzy, wysiłki naukowców, żeby jak najszybciej opracować szczepionki, które mogły uratować mnóstwo osób. I teksty pandemiczne były wówczas jednymi z najchętniej czytanych zarówno w wydaniu papierowym, jak i online. Ludzie szukali u nas sprawdzonych, rzetelnych informacji. Miałam nadzieję, że pandemia pokaże, jak ważna jest nauka i medycyna, jak ważne są badania, wiedza medyczna oparta na faktach, czyli EBM. Ale spotkał mnie spory zawód. Wiele ludzi zamiast szukać faktów, sprawdzonej przez fachowców wiedzy, poszło zupełnie inną drogą. Nie chcieli słuchać ekspertów – szukali informacji w najdziwniejszych miejscach, przyjmowali za fakty najbardziej wierutne bzdury dotyczące „plandemii”, „czipów w szczepionkach” itd.

Dlaczego tak się stało?

Na to pytanie najlepiej zapewne odpowiedziałby socjolog. Ale wydaje mi się, że ów brak zaufania do nauki, który wówczas przybrał na sile, wynikał z tego, że zatarły się jasne granice – nie wiadomo było do końca, kto jest ekspertem, a kto nie. Nagle okazało się, że jest grupa lekarzy negujących pandemię lub uważających, że szczepionki są niepotrzebne albo wręcz szkodliwe. To w dużej mierze spowodowało, że wartość nauki została zdewaluowana. Ludzie sami już nie wiedzieli, komu wierzyć, który z lekarzy, z profesorów ma rację. Jedni mówili tak, inni wręcz przeciwnie. Okazało się więc, wbrew moim oczekiwaniom, że wiara w medycynę zamiast się po pandemii wzmocnić, osłabła.



foto: Mateusz Skwarczek/Agencja Wyborcza.pl

Przyczynił się do tego niewątpliwie internet, dzięki któremu dostęp do informacji, także z dziedziny medycyny, stał się powszechny. Ludzie czasami nie zdają sobie sprawy, że często są to informacje niesprawdzone, wręcz wprowadzające w błąd.

Coraz częściej widzę, że czytelnicy chętnie idą na łatwiznę. Wpisują w wyszukiwarkę internetową pytanie, otrzymują odpowiedź i nie zwracają uwagi na to, z jakiego rodzaju źródła pochodzi. No i później nasilają się ruchy antyszczepionkowe, słyszymy, że coraz więcej osób wierzy w zabobony, w to, że Ziemia jest płaska, a z problemami zdrowotnymi zwracają się do wróżek, a nie do lekarzy. Mam też wrażenie, że rzetelne dziennikarstwo medyczne przechodzi poważny kryzys. Widzę, jak coraz bardziej kurczą się działy medyczne i naukowe w czasopismach ogólnych, takich jak np. „Newsweek”. Kiedyś mieliśmy kilkanaście stron poświęconych nauce i medycynie, teraz to zaledwie jeden bądź dwa teksty w numerze. Obniża się zresztą nie tylko liczba, ale też jakość tekstów, do czego ogromnie przyczynił się internet. Praca dla portali internetowych zmienia sposób pisania. Tempo produkowania nowych informacji i walka o zasięgi sprawiają, że artykuły są pisane szybko i stają się coraz bardziej niechlujne. Dbałość o elegancję i precyzję języka jest coraz mniej ceniona. Może to po prostu

znak czasów i nie ma się co obrażać, ale ja tak nie potrafię. Nie wyobrażam sobie puszczania do druku czy do wydań internetowych niedopracowanych, niestarannie napisanych artykułów. Być może rzeczywiście czytelnikom to nie przeszkadza. Ale mnie bardzo, więc w tej kwestii się nie zmienię.

Wielu dziennikarzy korzysta z pomocy sztucznej inteligencji podczas pracy nad tekstami. Czy pani też ją wykorzystuje?

Kilka razy próbowałam, ale podrzuciła mi takie głupoty, że w końcu odpuściłam. Myślę, że jeszcze nie jesteśmy na tym etapie, żeby korzystać z AI podczas pisania o medycynie i nauce. Widzę w tym niby-ułatwieniu zbyt duże ryzyko popełnienia błędu. I pewnie gdybym informowała czytelniczki o modnych kolorach na zimę, to nie byłoby problemu. Ale jeśli piszę o skomplikowanej sekwencji DNA, to naprawdę każda literka ma znaczenie i nie mogę sobie pozwolić nawet na najmniejsze niedociągnięcie. Wybieram więc tradycyjne metody – rozmowa z ekspertem, napisanie na tej podstawie tekstu i autoryzacja, żeby absolutnie nie puścić żadnego błędu.

A zdarzyła się pani kiedyś wpadka dziennikarska? Że nawet pomimo zachowania maksymalnej staranności dziennikarskiej wkraść się jakiś błąd?

Ryzyko popełnienia błędu jest zawsze, choć oczywiście robię wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Ale kiedyś rzeczywiście przeżyłam sytuację, która omal nie przyprawiła mnie o zawał serca. Pewnego dnia przyszedłam do redakcji rano i otrzymałam wstępny wydruk tekstu poświęconego działaniu mózgu osoby zakochanej. I zamiast wdzięcznego tytułu „Mózg w zalotach” rzuca mi się w oczy ogromny napis – „Mózg w galotach”. Dosłownie nogi się pode mną ugięły. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, bo przecież sprawdziłam wszystko po wielokroć i tytuł z pewnością był prawidłowy. Na szczęście okazało się, że był to tylko głupi dowcip grafików i w gazecie o galotach nie padło ani słowo. Ale naprawdę sporo nerwów mnie to kosztowało. Kiedy więc kolejnym razem na zdjęciu ilustrującym eksplorację wraku „Titanica” zobaczyłam wklejone zdjęcie Kate Winslet i Leonarda DiCaprio, odetchnęłam głęboko i skierowałam pierwsze kroki do działu graficznego. Słusznie zrobiłam.

Jeszcze raz gratuluję nagrody i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Dorota Mirska